

***Dyskusja o książce Stefana Morawskiego***  
**Niewdzięczne rysowanie mapy... O postmodernie(izmie)**  
**i kryzysie kultury**

Andrzej Miś

**Przewodnik po postmodernie(izmie)**

Ta książka jest (poprawionym i uzupełnionym przez autora) zapisem wykładów, jakie Profesor Stefan Morawski wygłosił w ramach Wykładów Kopernikańskich na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jak na wykład przystało, jest to w miarę kompletna i systematyczna prezentacja epoki postmodernistycznej i postmodernistycznej myśli, jednak — na szczęście — nie jest to jeszcze jeden suchy akademicki podręcznik, lecz żywa, emocjonalna, niekiedy wręcz z osobistymi akcentami dyskusja z wybitnymi i wielce dziś wpływowymi autorami i ich teoriami. Trafne jest więc odautorskie określenie (s. 321), że mamy tu do czynienia z szermierką, w istocie rzeczy bowiem nie jest to beznamiętny wywód, lecz ostra czasem i bezkompromisowa potyczka. Kieruje przy tym autorem coś, co wszystkich nas powinno jednoczyć: troska o los naszej kultury i obawa o przyszłość filozofii. Takie zaangażowanie na pewno przysporzy czytelników temu dziełu, ale co powinno ich przyciągnąć przede wszystkim, to bogactwo treści. Stefan Morawski uwzględnia wszystkich chyba najważniejszych postmodernistów i to nie tylko filozofów, lecz także socjologów i politologów, pisarzy i artystów — oraz ich krytyków, oczywiście. A wszyscy oni omówieni są w określonym porządku, tzn. podzieleni na szkoły i przypdzielani do odpowiednich nurtów (sami zainteresowani najczęściej by protestowali przeciwko takiemu „szufladkowaniu”, jak to się niekiedy z przyganą powiada, lecz — po pierwsze — samoświadomość metodologiczna, choć nie należy jej lekceważyć, nie zawsze jest prawidłowa, po drugie zaś — autor przekonująco pokazuje, iż jego klasyfikacje są właściwe i instruktywne). Przy tym podczas lektury kilka razy miałem wrażenie, że rekonstrukcje są bardziej zrozumiałe niż oryginały i że dopiero dzięki interpretacjom to czy inne dzieło nabiera sensu, a argumentacja staje się przejrzysta i zrozumiała. Można by powiedzieć — trawestując zapomnianą już nieco sentencję — iż

autor *Niewdzięcznego rysowania mapy...* umie odnaleźć racjonalne jądro w mistycznej niekiedy i często nieprzezroczystej skorupie postmodernistycznego pisarstwa. Przeciwnicy postmodernizmu nie będą już mogli mówić, że ponieważ nic nie rozumieją, nie będą dyskutowali z owym „ekstatycznym bredzeniem” (wyrażenie jednego z krytyków) derridów i lyotardów...

Ta książka jest więc lekturą obowiązkową dla wszystkich, którzy pragną zorientować się w stanie współczesnej kultury, a przede wszystkim dzisiejszej filozofii: wartość informacyjna i przydatność dydaktyczna tej pracy są, według mnie, bezdyskusyjne. Z taką mapą pewniej będziemy mogli się poruszać po skomplikowanych ścieżkach postmodernistycznej myśli.

Cenić tę książkę należy jednak przede wszystkim za to, że jej lektura może być znakomitą okazją do pogłębienia naszej samoświadomości metodologicznej. Postmodernistyczna filozofia bowiem to w przeważającej mierze metafilozofia, tzn. namysł — potrzebny każdemu filozofowi — nie nad taką czy inną teorią filozoficzną, lecz nad samą ideą filozofii, tj. nad tym wcale nie oczywistym projektem, który pierwsi usiłowali zrealizować starożytni Grecy, aby swoje życie jednostkowe i społeczne oprzeć już nie na tradycji czy mitologii, lecz na zasadach odkrytych czy ustanowionych przez ludzki rozum.

Taki metafizyczny namysł może doprowadzić do przyjęcia tezy, że filozofia jest najwyższym powołaniem człowieka, a filozofowie są „funkcjonariuszami ludzkości”, jej duchowymi przewodnikami, jak pisał Husserl (co jest wersją Platońskiej tezy, iż królem powinien być filozof lub że król powinien być filozofem) oraz że „uchwycenie pierwiastków bytu i bytowania” (s. 121) jest nie tylko najważniejszym ludzkim zadaniem, ale także zadaniem wykonalnym. Literatura na ten temat — można by ją nazwać literaturą protreptyczną (od dzieła Arystotelesa, zatytułowanego właśnie *Protreptikos*, czyli *Zachęta do filozofii*) jest olbrzymia.

Równie jednak obfita jest literatura apotreptyczna, tzn. negująca ideę filozofii. Przy tym owo antyfilozoficzne nastawienie nie jest po prostu niefilozofowaniem, lecz wnioskiem z określonych rozmyślań, wnioskiem dla niektórych wręcz się narzucającym (przypomnijmy myśl Pascala: „Nie ma nic równie zgodnego z rozumem, jak to zaparcie się rozumu”). Antyfilozofów (czy „miso-logów”, jak ich trafnie nazywa Lew Szestow w *Atenach i Jerozolimie*) było wielu. Stefan Morawski pisze o tym w trzecim rozdziale, w paragrafie zatytułowanym *Z dziejów metarefleksji: antenaci i prekursorzy nowożytni*. Czytamy tam: „Od zarania z większymi czy mniejszymi syntezami naszej wiedzy, na której budowano między innymi zasady wszechobowiązującej etyki, konkurował nurt sofistyczno-sceptyczny. Nigdy nie zniknął, mimo że — co trzeba zanotować — był spychany na ubocze” (s. 122). Autor wymienia niektórych przedstawicieli owego nurtu sofistyczno-sceptycznego, który ja wolałbym nazywać po prostu „antyfilozofizmem”, gdyż sofistyczne czy sceptyczne ataki na filozofię są jedynie pewną określoną formą antyfilozofii, jedną z wielu możliwych.

Termin „antyfilozofizm” jest zresztą używany przez Stefana Morawskiego. Skądinąd słowo to może się wydać komuś paradoksem: antyfilozofowie negują między innymi potrzebę i możliwość systemowego myślenia oraz sensowność zajmowania jakiegoś określonego teoretycznego stanowiska, tymczasem mówiąc „antyfilozofizm” (z owym „izm” na końcu) wszystko to chce się im przypisać. W istocie rzeczy jedyną naprawdę skuteczną formą negacji filozofii byłoby milczenie, skoro zaś antyfilozofowie wdają się w polemikę z filozofami, muszą posługiwać się ich metodami, tzn. tak czy inaczej argumentować, systematycznie wyklądać swoją myśl itd., czyli właśnie zajmować określone stanowisko teoretyczne i bronić go. Jak pisał kiedyś Jerzy Szacki w *Kontrrewolucyjnych paradoksach* — także antyfilozof „musi się dorobić własnej filozofii: nawet brak systemu musi ostatecznie stać się jakimś systemem”. Stefan Morawski — przedstawiając postmodernizm jako antyfilozofię czy choćby postfilozofię (choć wewnętrznie zróżnicowaną i z różnym natężeniem krytycyzmu występującą wobec idei filozofii — zob. np. s. 191, gdzie mowa jest o różnych wcześniej omówionych „modelach antyfilozoficznych”, opisanych w takiej kolejności, wyjaśnia autor, aby „unaocznic wzrastającą siłę argumentacji za odejściem od filozofii”), zwraca uwagę na podobny paradoks, w tym przypadku zresztą silniejszy, gdyż postmoderniści atakują nie tyle może formę filozoficznego myślenia, co przede wszystkim metafizyczne skłonności filozofii. „Trzeba [...] powiedzieć — czytamy w paragrafie zatytułowanym *O sensie filozofowania* — że tak jak od metafizyki nie uwolnił się Nietzsche (co podkreślał Deleuze) ani Heidegger czy Levinas (co wykazał Derrida), podobnie mają się rzeczy z myślicielami postmodernistycznymi. Proces refleksji metafizycznej przebiega bowiem analogicznie jak w budowaniu teologii negatywnej — to znaczy: jeśli destrukuje się zasady pierwsze, to w imię jakiejś naczelnej kontrzasady. Marquard utrafił w sedno rzeczy w formule *Prinzip des Nichtprinzipiellen*. [...] Antyfundamentalizm okazuje się w ostateczności fundamentalny” (s. 244). Jest to już jednak inny fundamentalizm: nie dogmatyczny, lecz „wielościowy” (por. określenie ze s. 299, nieco tajemnicze, ale rozjaśnione na s. 328 i na samym końcu książki, gdzie się pisze o „zasadach”, „nigdy ostatecznych, a zarazem nieodzownych”).

„Istnieją przeciwnicy filozofii — powiada Nietzsche, ten praojciec wszystkich postmodernistów (por. s. 125: „do Nietzschego odwołują się wszyscy myśliciele zwani postmodernistami”), w pracy *Filozofia w tragicznej epoce Greków* — i dobrze jest ich wysłuchać [...]”. Dlaczego? Po prostu dlatego, że jeśli mają rację, należy ją rozważyć i uznać — jeśli zaś racji nie mają, odpieranie ich ataków wzmocni nasze własne przekonania. Z tych samych powodów należy wysłuchać metafizycznych rozważań postmodernistów. Trzymając się przy tym zasady, której przestrzega w swojej książce Stefan Morawski: żeby w ocenach brać pod uwagę nie to, co w postmodernizmie najgorsze, czyli prowokacyjnie przesadzone, nieodpowiedzialnie splotone, ideolo-

gicznie zafałszowane, lecz to, co najlepsze i co istotnie inspirujące do myślenia. Taka życzliwa, choć krytyczna lektura Derridy, Deleuze'a, Foucaulta, Lyotarda, Marquarda, Rorty'ego, Vattima czy Welscha na pewno przyczyni się do podniesienia na wyższy stopień naszej metafizologicznej samoświadomości.

Przedstawiając filozoficzny postmodernizm jako metafizologię, Stefan Morawski odpowiada na pytanie o genezę postmodernizmu. Nie jest on jakąś dziwną aberracją, jeszcze jednym świadectwem marności naszego czasu, wyrazem zdziżenia nihilizmu, lecz — radykalną może — kontynuacją czegoś, co od zawsze towarzyszyło filozofii, czyli dalszym ciągiem krytycznej refleksji nad zadaniami i możliwościami filozofii, nad jej dobroczynnymi i złowróżbnymi stronami. Jeśli rację ma Leszek Kołakowski, który w eseju *Szukanie barbarzyńcy* powiada, iż najważniejszą i najcenniejszą cechą kultury europejskiej jest zdolność do samokwestionowania, do samokrytyki, to owa samokrytyka powinna też sięgać aż do samych źródeł naszej kultury, tzn. właśnie do owej idei „celoworacjonalnego sposobu życia”, tj. życia opartego na filozofii.

Czyli: zawsze wysuwano wątpliwości wobec filozofii, dziś jest ich więcej i są one coraz poważniejsze — oto mamy postmodernizm. Taką tezę — choć nie jest ona wprost wypowiedziana — odnajduję w książce Stefana Morawskiego czy też może sam na własną odpowiedzialność taką tezę bym po lekturze sformułował.

Tezę tę można by przy tym pogodzić z tym, co głosi autor książki na temat infrastruktury postmodernistycznego myślenia (w rozdziale pierwszym, a zwłaszcza w paragrafie *Jaka postmoderna?*). Otóż czytamy, iż postmodernizm (nie tylko w filozofii, ale także w sztuce i nauce) jest nadbudowany nad pewnymi przemianami społecznymi (przy tym za źródłowe uważa się najczęściej przekształcenia w dziedzinie gospodarczej), składającymi się na tzw. postmodernę, czyli ponowoczesność, tzn. nową formację społeczną, która nastąpiła po epoce moderny, czyli nowoczesności. (Stało się to, według autora, około roku 1914 — por. zdanie na s. 60: „W naszym słowniku może niezbyt fortunnie, ale najwłaściwiej użyć nazwy postmoderna jako opozycyjnej wobec tego, co w odniesieniu do lat 1890–1914 określamy jako modernę, obejmując nią nie tylko dzieła, ale i ludzi, ich umysłowość i nastawienia, nie tylko styl twórczości, ale i styl życia”, zaznaczmy, iż inni badacze, wypowiadając się na temat początków postmoderny, wymieniają inne daty i że opinia Stefana Morawskiego w tej sprawie wydaje się nieco arbitralna, gdyż fakty podane w książce niezbyt ją uzasadniają). Ta ponowoczesna kultura, kultura społeczeństw poindustrialnych, w których wszystko się zmienia w szaleńczym tempie, a więc nic nie zasługuje na trwałą uwagę i pełne zaufanie, wszystko jest względnie ważne i na chwilę jedynie obowiązujące — wzmacnia naszą nieufność względem filozofów, chcących dotrzeć do trwałych i uniwersalnych zasad, pragnących odkryć prawdy niekwestionowalne i obowiązujące każdego.

Długo by trzeba mówić o tym, co jest głównym wyznacznikiem tej naszej ponowoczesności („naszej” nie dosłownie, tzn. niezupełnie polskiej, gdyż — tak rozumiem słowa ze strony 84 — ponowoczesność do nas jeszcze nie dotarła), a także o tym, jak się ma postmoderna do nowoczesności (czy jest jej kontynuacją czy zaprzeczeniem), jakie związki (przyczynowe, funkcjonalne czy jeszcze jakieś inne) łączą ponowoczesny byt z ponowoczesną świadomością. Długo by mówić — tzn. zarówno przedyskutować te ujęcia, które są przywołane w książce, jak i zmierzyć się z tezą autora, że to permissywny konsumpcjonizm jest dominującą dziś postawą, albo — bardziej obrazowo — że człowiek stał się „pojemnym jamochłonem” (por. s. 80).

W tej ostatniej sprawie powiedzieć trzeba, że konsumpcjonistyczne nastroje są rzeczywiście coraz silniejsze, ale wątpić też można, czy ten konsumpcjonizm przybrał dziś (oczywiście nie wszędzie; wiadomo, że idzie o kraje najbogatsze) aż tak bardzo gargantuiczne rozmiary i tak groteskowe formy, jak to się przedstawia. Stefan Morawski rozumie chyba następująco: „ponieważ przemiany technologii następują szybko, ponieważ rytm ich związany jest bezpośrednio z modą, ponieważ nic nie wydaje się zasługiwać na utrzymanie jako wartość trwała i przednia” (s. 62), to „gra toczy się nie o pewność i stabilność, nastawienie na obowiązki, szukanie gwarancji” (s. 80), lecz o coraz to nowe doznania i przyjemności; tak więc życie ponowoczesnego człowieka (oczywiście nie wszyscy dziś żyjący ludzie są ludźmi ponowoczesnymi) to „frenetyczne poszukiwanie wciąż nowych bodźców” (s. 62), czego — dodajmy — najlepszym symbolem jest tzw. *zapping*, czyli skakanie po telewizyjnych kanałach, szukanie wciąż czegoś nowego i naprawdę interesującego, bez nadziei jednak, że coś rzeczywiście wartego naszej uwagi się znajdzie. Czyli: ponieważ upadły — pod naciskiem bodźców płynących ze strony postindustrialnego rynku — wszelkie normy i wartości, pozostała jedynie rozpasana konsumpcja. Tak twierdząc, zakłada się — ryzykownie, moim zdaniem, bo bardzo to podobne do swoistej regresywnej utopii, bo bardzo to przypomina jeszcze jeden mit złotego wieku — że kiedyś ludzie nastawieni byli bardziej na być, dziś zaś chcą jedynie coraz więcej mieć. Nośne to hasło, ale tak naprawdę nie wiadomo, co znaczy. Każda ludzka aktywność może przybrać wynaturzone formy, także konsumpcja. Krytykując przesadę, nie warto jednak potępiać rzeczy samej. Jeśli przy tym nie rozumie się terminu „konsumpcja” dosłownie (łac. *consumptio* znaczy „trawienie”), bo przecież nie o racjonalną dietę nam chodzi, to nie widać powodu, aby widzieć coś złego w przyswajaniu sobie nowych informacji, gromadzeniu coraz to innych przeżyć (nikt nie robi tego na ślepo i rzadko kto w tych poszukiwaniach przekracza wszelkie granice), wreszcie w rozszerzaniu horyzontów, można by powiedzieć...

Tak więc według Stefana Morawskiego permissywny konsumpcjonizm ma być efektem czy następstwem upadku zasad. Doprowadziły do niego przekształcenia cywilizacyjne (przede wszystkim w sposobie produkcji społecznej),

ale czy ręki nie przyłożyli tu także postmodernistyczni filozofowie? Skoro byli oni odpowiedzialni za bezeceństwa francuskiej rewolucji, niemieckiego faszyzmu (Nietzsche) i rosyjskiego bolszewizmu, to może są też współwinni rozpanoszeniu się postaw konsumpcjonistycznych? Stefan Morawski rozważa taką możliwość zastanawiając się, czy postmodernistyczny „post-filozofizm”, czyli negacja wszelkich uniwersalnych norm, zasad i wartości, nie wzmacniała i nie pogłębiała kryzysu kulturowego, z jakim mamy do czynienia w naszych czasach (por. s. 300). Oczywiście, nie oskarża postmodernistycznych filozofów, że to oni uczynili z nas stado jamochłonów — o Derridzie i Rortym wręcz pisze, że głoszą oni etykę obowiązku, o której „jamochłon” nic nie wie i nie chce wiedzieć. Gdy jednak czytam takie zdanie: „jeśli np. Derrida zajął się w ostatnich latach kwestiami etycznymi, tyle i jak świetnie pisze o gościnności, przyjaźni, o nastawieniu na Drugiego, to wychodzi poza granice postmodernizmu (podkr. moje — *A.M.*), wychodzi ku mnie, aby zadomowić świat ciesząc się beztrósko bezdomnością” (s. 328) — odczytuję je jako wyraźną sugestię, że Derrida jako postmodernista i z nim razem wszyscy inni postmodernistyczni myśliciele współodpowiadają jednak za dzisiejszy katastrofalny stan kultury.

Słyszy się często, i także czyta, takie oskarżenia: kto obala zasady, ten propaguje nihilizm (Boga nie ma — wszystko wolno!) albo wręcz pochwała zbrodnię (kiedy odkryto, że Paul de Man pisywał w młodości artykuły w nazistowskich pismach, pojawiły się sugestie, że realizowany przez tego badacza program dekonstrukcjonistyczny ma coś wspólnego z tamtym niegdyś jego zaangażowaniem czy też jest przedłużeniem owych dawnych jego poglądów; albo — zadaje retoryczne pytanie krytyk postmodernistycznej „antropopraksji” — czy to przypadek, że postmodernizm cieszy się taką popularnością u niegdyśszych naszych marksistów?). Otóż nie negując bynajmniej tezy, że najbardziej nawet abstrakcyjne filozoficzne rozważania nie są ideologiczne i również politycznie niewinne, chciałbym jednak zgłosić dwie wątpliwości do takiego uproszczonego, jak sądzę, rozumowania.

Po pierwsze: czy filozofii i filozofom nie przypisuje się tu zbyt wielkiej roli? Czy to przypadkiem nie sami zainteresowani wymyślili mit filozofa jako przewodnika ludzkości? (Oczywiście owymi przewodnikami mogą i powinni być prawdziwi filozofowie, a nie postmodernistyczni kusiciele, których nadejście już Nietzsche przewidywał).

Po drugie (i ważniejsze): czy postmodernistyczna (tzn. przez postmodernistycznych myślicieli przeprowadzana, ale także dokonująca się spontanicznie i bezrefleksyjnie w obrębie tzw. świadomości społecznej) krytyka zasad rzeczywiście ma taki cel, żeby wszystkie owe zasady zanegować i ostatecznie odrzucić? Postmodernistyczna krytyka polega raczej na tym, że pokazuje braki w uzasadnianiu owych traktowanych niegdyś jako absolutne i niepowątpiewalne nakazów i zakazów lub też że wykazuje iluzoryczność wszelkiego

ostatecznego uprawomocnienia. Popętnia błąd — o czym nas choćby matryca prawdziwościowa implikacji poucza — ktoś, kto zanegowawszy przesłanki, odrzuca też i wniosek: nie jest prawdą, że jeśli jakaś zasada nie ma absolutnego uprawomocnienia, należy ją odrzucić — można ją nadal podtrzymywać, zmieniając rodzaj uprawomocnienia. Tak właśnie jest chyba w postmodernizmie i tak jest z tymi, którzy by się pod postmodernistycznymi ideami podpisali: zastępują oni coraz częściej logocentryczne uprawomocnienia uprawomocnieniami antropocentrycznymi, ale przecież nie porzucają masowo wszelkich zasad i bynajmniej nie przekształcili swego życia w jeden wielki spektakl pochłaniania i wydalania. Jeśli ktoś z czytelników postmodernistycznych pism stał się właśnie pod wpływem lektur tych „zbojeckich książek” nihilistycznym permissywnym konsumpcjonistą, to uczynił to na własną rękę i własną odpowiedzialność, wbrew autorom i wielokrotnie wygłaszanym przez nich deklaracjom — i zresztą argumenty (źle rozumiane) nie tyle go przekonały, ile zostały dopasowane do postawy ukształtowanej przez zupełnie inne czynniki. Potrzeba nam zasad, zasady są nieodzowne — ale wcale nie muszą to być zasady ostateczne (tzn. absolutnie pewne, uniwersalne, niezmiennie i bezwyjątkowe). Czyli: zasada czujności czy podejrzliwości względem wszelkich zasad nie musi prowadzić do ich całkowitego odrzucenia. Tymczasem pewne sformułowania użyte przez Stefana Morawskiego mogłyby sugerować, że akceptuje on formułę: postmodernizm = nihilizm = rozpasany konsumpcjonizm (por. np. s. 299: „opcja postmodernistyczna przynosi z sobą niepowetowane szkody”). Wolę jednak czytać dyskutowaną książkę przez pryzmat zdań umieszczonych na samym końcu. Tworzą one coś w rodzaju moralnego przesłania czy apelu — i otóż są to słowa, które wypowiada ktoś zatroskany o naszą ponowoczesną codzienność, ale kto przeszedł już postmodernistyczną lekcję. To nie antypostmodernista, lecz — zaryzykujemy neologizm — postpostmodernista podkreśla np. świadomość „zawsze konkurujących ze sobą zasad, nigdy ostatecznych, a zarazem nieodzownych, gdyż bez nich skazani jesteśmy na egzystencjalne dryfowanie” (s. 331).

Iwona Lorenc

### Rysowanie postmodernizmu

Książka Stefana Morawskiego jest cennym i jakże potrzebnym kompendium wiedzy o postmodernizmie (w Polsce wciąż cierpimy głód takich globalizujących ujęć). Zarazem — jako wyraźna artykulacja przekonań filozoficznych autora — stanowi dobry punkt wyjścia do dyskusji nad postmodernizmem. Moje uwagi dotyczą niektórych tylko spraw, tych, które narzuciły mi się „na gorą-